

Ludwik Krzywicki

Tradycja zorganizowana

Przegląd Socjologiczny Sociological Review 28, 45-56

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

LUDWIK KRZYWICKI

TRADYCJA ZORGANIZOWANA

W każdej chwili istnieją w społeczeństwie liczne rozczyny idei, pożądań i emocji, niekiedy tak słabe i tak rozstrzelone, że nawet nie podejrzewamy ich istnienia.

Tworzą podwalinę dla powstania jaźni zbiorowej.

Skutkiem podniety z takiego rozczynu powstaje ta istota zbiorowa, odznaczająca się mocną wyrazistością rysów duchowych. Osadza się jakby kryształ utajonych stanów wewnętrznych. Żywot jej bywa krótki: dokonawszy swego zadania, rozpada się na pojedyncze osoby, namiętność zaś znika — pozornie bez śladu. Jest jako bałwan, który spiętrzył się na powierzchni wód, wzdęty przez podmuch wiatru, ale który niebawem opada i zlewa się ze swoją macierzą. Rozważaliśmy właśnie taką jaźń zbiorową.

Ale nie zawsze tak bywa.

Niekiedy bowiem ów *être spinale et gangrinaire*, raz jeden powstawszy z łona społecznego, powtarza się według osiągniętego pierwotnie wzoru, to znowu bywa wywoływany umyślnie i nawet ćwiczony w sposób systematyczny.

To jaźń zbiorowa już nie prosta, ale organizowana.

Postacie takiej jaźni zbiorowej odradzającej się są bardzo różnorodne. Ale próby ujęcia ich w schematy klasyfikacyjne byłyby pracą daremną. Dlatego uczynimy najlepiej, rozpatrując parę wypadków konkretnych.

Posiadamy bardzo szczupłe wiadomości o psychice męczenników, którzy podczas prześladowań dali ofiarę ze swego życia za ideę chrześcijańską. Ale z tego, co wiemy, możemy wyrobić sobie dość jasne wyobrażenie o zachwycie gromadnym, który obejmował wiernych w chwilach takiego ciężkiego doświadczenia i czynił z rzeszy głów ludzkich jednolitą gromadę, zatopioną w modlitwie, pogrążoną w skupieniu ducha i gotową do poniesienia śmierci. Rzuceni do więzienia, przygotowywali się do przyjęcia wieńca męczeńskiego, zapominając w ekstazie zbiorowej o swoim osobistym „ja”. „Głosy męskie, kobiece i dziecięce łączyły się

w jeden zgodny chór — tak artysta odtwarza obraz oczekiwania. Całe więzienie zaczęło śpiewać jak harfa. Lecz nie były to głosy żalości ni rozpaczy. Owszem, brzmiała w nich radość i triumf”. Zachwyt nie opuszczał skazańców i w obliczu śmierci. Byli atomami jaźni zbiorowej, która podniosła odporność każdego z nich i zahartowała na ból i męczeństwo. Jesteśmy przekonani, że gdyby tam działano nie na tłumy, ale na osoby poszczególne, to męstwo i wytrwałość nie byłyby tak wielkie. W końcu stało się zadość swawoli władców Rzymu: męczennicy zginęli. Ale ci władcy zgładzili ze świata jedynie ciało, bo duch ofiar żył dalej. Z głęboką czcią zbierano krew rozlaną i poszarpane członki, z ust do ust podawano szczegóły o skonie męczenników, a ich postępowanie było nauką, jak trzeba zachowywać się w więzieniu. Aureola świętości otaczała pamięć zamordowanych, tym podnioslejsza, im więcej czasu upłynęło. Podczas pierwszych prześladowań wierni ginęli, bo nie chcieli być odstępcami od wiary, przy drugim i dziesiątym dołączyły się entuzjazm i chęć wyrzycia swego nazwiska w pamięci potomków. Przede wszystkim zaś zachwyt męczenników, który po omacku odkrył był najodpowiedniejsze sposoby podniesienia ducha, dostarczył już gotowych wzorów dla ich następców. Nowe ofiary stanawszy w cyrku, były nie samotne: w ich wyobraźni wynurzały się postacie poprzedników, szeptały słowa zachęty, podawały przykład zachowania się, radziły hartować moc ducha w chóralnym śpiewie. Słowem, nowe rzesze prześladowanych miały za sobą doświadczenie wieków, które nakazywało w emocji gromadnej szukać odporności na męki.

Kompania pątników do miejsca świętego daje nam obraz, odznaczający się większym rozwojem szczegółów niż daleka przeszłość z dziejów męczeństwa, i dorzuci parę rysów uzupełniających do powyżej nakreślonego obrazu.

Odtworzyliśmy w innym przyczynku to oddziaływanie tradycji na kompanię świętą, idącą do Jasnej Góry, i nie będziemy powtarzali po raz drugi tego, co tam rzekliśmy. Poprzestaniemy jedynie na zaznaczeniu, że tradycja, zorganizowana i zaklęta w zwrotach symbolicznych, upostaciowana w dziełach z kamienia lub drzewa i niekiedy nie posiadająca ciała materialnego, czyha po drodze na pątników, luźne gromadki zbliża, wyklina rozdźwięki i stwarza jaźń zbiorową. Staroczesny obyczaj, dorobek wielu pokoleń oddziaływa tam od pierwszej chwili. Pobożni, którzy pozostawili go w spadku, spoczęli od dawna w ziemi, lecz dzieło ich ducha zbiorowego żyje, przyspiesza poród nowych organizmów gromadnych, według wskazówek ubiegłej empirii przeciwdziała swawoli indywidualnej, stwarza więc więź życia zbiorowego i normy stosunku wzajemnego. Zmarły panuje nad żywym, rządzi uderzeniami jego serca, rodzi ekstazę jego nerwów. Nowy pątnik od chwili, gdy stanął w kompanii, stąpa fak-

tycznie w ordynku — z nieżyjącymi. Jaźń zbiorowa ma utworzony rozwój, jest przedłużeniem poprzedniczek swoich i tym samym osiąga skutek rychlej, aniżeli by to uczyniła, gdyby każda kompania musiała po omacku sama oddzielnie nabywać doświadczenia.

Zwróćmy się w końcu do jaźni zbiorowej, posiadającej jeszcze prawdziwszy żywot, do pułku.

Żołnierz w szeregach a żołnierz z osobna są poniekąd istotami odmiennymi. Jeden z generałów opowiada, że ilekroć wypadało mu egzaminować młodych szeregowców oddzielnie, zawsze był niezadowolony z ich musztry oraz nie mógł nadziwić się ich nierozgarnięciu i niezgrabności. Natomiast otrzymywał zgoła inne wrażenie, gdy ci sami żołnierze maszerowali w szeregach: odznaczeni wtedy inteligencją i żwawością, czego niepodobna było nawet przypuszczać na podstawie egzaminu, dokonywanego z osobna. Skutkiem systematycznych ćwiczeń pułk jest jaźnią zbiorową, twórczą się pod wpływem podniety, ile razy szeregowcy są w zastępie. Nie ma tak błahego szczegółu, który by nie oddziaływał na jej spójność i nie wiązał żołnierzy nicią wzruszenia emocjonalnego, nie utrzymywał bytu istoty gromadnej. Wspólne ćwiczenia przyuczają szeregowców do pewności siebie, gdy są pospołu, wpływy te ustają, kiedy żołnierz będzie szedł sam jeden; brak mu wtedy atmosfery zbiorowej, w której przyzwyczał się czynić obroty i słuchać nakazu. Śpiewy chóralne podczas marszu, którym towarzyszy rażący odgłos bębnow i piszczałek, bądź co bądź także stwarzają u wszystkich jednakową emocję, co jest w gruncie rzeczy zakrojem na jaźń zbiorową. Pod wpływem takich ćwiczeń powstaje duch gromadny, który czeka tylko podniety, ażeby uwydatnił swoje istnienie. Cała armia Napoleona I przedstawiała taką jedność: była mężniejszą, szlachetniejszą i nawet uczciwszą, aniżeli przeciętnie okazały się każdy szeregowiec. Wawrzyny zdobyte przez tego niepospolitego strategika na polach bitew, narkotyk sławy i jeszcze bardziej odznaczeń, którymi tak chojnie szafował mały kapral, oraz wiele innych względów przyczyniły się tam do rozniecienia najodpowiedniejszych stanów ducha i stały się cementem moralnym: z tysięcy głów uczyniły jedną osobę. Pułki były jaźniami imiennymi, wyodrębnionymi, posiadającymi każdy własną tradycję i własny punkt honoru. Żołnierz ginął bezimienny w gromadzie, żył jej życiem. Weterani opuszczali szeregi, legli od kuli, nie wyćwiczeni nowobraczy zastępowali ich miejsce, ale „honor” pułku istniał i przeistaczał duszę rekruta. Stawał się patriotą swojego pułku, w którym tradycja utrzymywała brawurę: ponieważ poprzednicy, niegdyś upojeni zgiełkiem bitwy, rzucili o ziemię ładunki, zatknęli bagnety i taką białą bronią uderzyli na wroga, przeto nowe pokolenie także nie walczyło inaczej. Być np. czwartakiem, znaczyło w każdej potyczce iść do szturmowania na ostrze. Pułk ten, użyty nie tym trybem,

działał opieszale i nawet ulegał tchórzostwu. Sztandar bywał świętością, szeregowcy prędzej by zginęli wszyscy, niż pozwoliliby go wydrzeć sobie. Honor zbiorowy wżerał się w krew i ciało żołnierza. Wodzowie z doświadczenia pojęli to znaczenie jaźni pułkowej podtrzymywanej przez tradycję i odradzającej się skutkiem ciągłości kadrów organizacyjnych. Pułk nie był zwykłą gromadą złożoną z tyłu a tyłu szeregowców. Nie! Oni stanowią tylko widomą część jego, bo istnieją tam jeszcze niewidzialne oddziały tych, którzy swoimi czynami stworzyli honor istoty zbiorowej. Żołnierz, z tradycji idący na bagnety, stapał nie sam jeden w ordynku bojowym. Każdemu towarzyszyły w jego wyobraźni zastępy poprzedników: swoją obecnością potęgowały siłę moralną, która zrodziła się w istniejącej gromadzie pod wpływem chwilowej podniety.

A zatem wszędzie, w przykładach przytoczonych, mamy do czynienia z tym samym faktem znamienym. Mianowicie powstająca na podłożu tradycji jaźń zbiorowa jest tylko przedłużeniem tych, które istniały niegdyś. Nie tylko dawne wzory przyspieszają poród nowej istoty zbiorowej, ale nadto dawne zastępy jakby łączą się w jednię z późniejszymi i stanowią niewidzialną, acz działającą część powstałej jaźni. Na najniższym szczeblu zorganizowanej tradycji taka łączność bywa słabą, niekiedy może zaledwie dostrzeganą; na wyższych, np. w pułku, daje początek systematycznej organizacji, mającej na celu ćwiczenie zbiorowości, która powstaje tam przy pomocy kadrów. Jaźń gromadna przechodzi wtedy w instytucję, żywiołowa empiria praktyk i środków — w systematyzowany rytuał.

Dzieje każdego Kościoła przewybornie uwydatniają to przejście.

Kościół powstał wśród dreszczów emocjonalności zbiorowej, jego zaś rytuał wytworzył się z samorzutnej empirii, do jakiej doszła jaźń gromadna podczas swoich zachwyty. Nie mamy faktów, dokładnie odtwarzających nam ducha owych „rzeczpospolitych anielskich”, które, rozproszone po całym Imperium rzymskim, walczyły modlitwą przeciw przesładowcom, doskonaliły się zbiorowo w cnotach i szukały siły moralnej w ekstazie zbiorowej. Psychologia tworzących się sekt, rytuał nabożeństwa, muzyka kościelna, wzięte pospołu, pozwalają nam przeciw zrozumieć nieco istotę jaźni zbiorowych, które organizowały się w mrokach katakumb, nieraz pod świeżym wrażeniem męczeńskiej śmierci współwyznawców. Muzyka, towarzysząca mszy i nieszporem, oddaje nam nieco ducha takiej gromady modlącej się. „Anielska rzeczpospolita” zgromadziła się na ćwiczenia nabożne: nadeszli upadający na duchu, przybyli rozpaczający, ażeby znaleźć pokrzepienie. Zbiorowo powierzają niebu troski swoje i zmartwienia, przygotowują się do wieńca męczeńskiego. Dreszcz mistyczny przebiega po ciele zgromadzonych. Podnosi się ktoś, z gardła dobywają się spazmatyczne okrzyki, ów wylew silnego wzrusze-

nia. Odpowiada mu drugi, trzeci i dziesiąty spośród towarzyszy [...] Litania dźwięków i emocji, żywiłowo powstająca, rozlega się głucho pod sklepieniem podziemi i milknie w dali, w mrokach. Kadzidła, będące innym aktem dziękczynienia, dymią się w rękach uczestników. Jaźń zbiorowa staje się coraz zwartsza. Nastaje w końcu chwila uroczysta: spożywanie skromnej uczyty i jednocześnie spełnianie najświętszego symbolu wiary z przygotowywaniem się na śmierć męczeńską. Uniesienie wzrasta: w uniesieniu najwyższym ciała rozkładają się na ziemi, okrzyki przekształcają się w hymn pełen emocji, dreszcz nerwowy wstrząsa uczestnikami. Po czym gmina rozchodzi się, orzeźwiona wspólną modlitwą. Taki duch panował we wszystkich „rzeczpospolitych anielskich”. Z nich na podstawie empirii, zdobywanej na każdym zgromadzeniu i pod wpływem uczucia tam dojrzewającego, tworzył się Kościół wojujący, jaźń gromadna zorganizowana. A nad tym Kościołem jako jego nadbudowa w wyobraźni wiernych istniał jeszcze Kościół inny, triumfujący — tych, którzy otrzymali już nagrody za swoje czyny doczesne.

Minęły wieki.

Zamiast osoby rozeźwiałej, która w natchnieniu wołała do nieba, zjawiał się kapłan stojący przy ołtarzu; zamiast rzeszy wiernych, która mu zbiorowo odpowiadała modlitwą dreszczu nerwowego, dopuszczono tylko kilka osób do służenia przy mszy, muzyka zastąpiła naturalną emocję dusz, żywiłowe wylanie uczucia zostało ujęte w karby mszy, wierni modlą się tylko oczami i ustami [...] Powstał rytuał, który rozszerzył się na wszystkie miejsca.

Jaźń zbiorowa ustąpiła miejsca instytucji zorganizowanej.

W epoce upadającego Rzymu religia odegrała rolę czynnika, organizującego instytucję nową: Kościół. W innym okresie dziejów działają inne czynniki: we Francji przy końcu ubiegłego stulecia podjęły to samo zadanie kluby i partie. Powstał wtedy kościół polityczny — krótkotrwały, innej taktyce hołdujący, ale ze stanowiska psychologicznego używający pokrewnych dźwięni dla swego rozwoju.

* * *

Wł. Reymont, zobaczywszy rozchodzących się towarzyszy, z którymi odbywał był pielgrzymkę do świętego miejsca, uczuł żal, że wszyscy rozlecą się jako liście jesienią, ażeby nie spotkać się nigdy.

Nie!

W każdym pątniku pozostało coś ze wspólnie doznanych zachwyty: pielgrzymi się rozpierzchną po dalekim świecie, ale będą tworzyli jedność duchową, posiadającą wspólny punkt ciężenia i wspólne doświadczenie — przeżyta jaźń zbiorową.

Utkwiły tam, w duchowym jestestwie uczestników, różne odgłosy, stany i zarodki, z których w nieświadomej pracy mózgu zrodzą się swego czasu nowe, choć może bardzo niejasne dążności. Sceptyk nawet, który uczestniczył w kompanii i ponosił na równi z innymi trudy drogi, był świadkiem lub osobiście doświadczał błogości, odczuwanej po całodziennej pielgrzymce, podczas modłów zbiorowych pod krzyżem zdołał się z bliska przyjrzeć szczeremu wylewowi uczuć i przeżył emocje zbiorowego uniesienia — nawet on opuści zastępy pątnicze jako inna duchowość. Jaźń zbiorowa, która powstała podczas pielgrzymki i w ciągu wielu dni utrzymywała nerwy w napięciu, pozostawia po sobie w społeczeństwie rozczyn — szeregowców odpowiedniego uczucia, którzy pogrążeni w kłopotach życia codziennego ani przeczuwają, że w potrzebie coś odezwie się wewnątrz nich i powiąże ich w zastępy.

Istota zbiorowa występuje tu z nowym obliczem: już nie jako całość duchowa, która posiada swój odrębny żywot i właściwości, odróżniające ją od pojedynczych uczestników gromady, ale jako jądro stanów uczuciowych, które rozplyną się po społeczeństwie; jako rozsądnik idei podsuniętych podczas egzaltacji zbiorowej, słowem jako wpływowe i bardzo ważne narzędzie oddziaływania. Praktycy, gdy chodzi im o dostarczenie powstającej instytucji cementu moralnego, używają instynktownie lub świadomie takich sposobów. Jezuici, mistrze rozkazywania duszom ludzkim, założyli w Paragwaju państwo, jakiego historia nie znała jeszcze. Byli pasterzami trzody wiernych w dosłownym znaczeniu tego wyrazu: Indianie nie posiadali własności, wszystko bowiem należało do Kościoła, ustrój zaś społeczny był olkryzmią oborą pospólną, w której każde stadło małżeńskie miało własny żłób, napelniany ze śpichlerzy ogólnych. Jednak obywatele państwa paragwajskiego byli zadowoleni i szczęśliwi, przede wszystkim zaś przywiązali się mocno do takiej więzi. Bo pasterze połączyli trzodę cementem emocjonalności zbiorowej. Procesje, tańce podczas obrzędów, śpiewy chóralne treści religijnej i muzyka, gdy udawano się gromadnie do robót polnych i wracano do domu — takie środki stosowano tam systematycznie, ażeby spleść ze sobą duchy węzłem sympatii wzajemnej i jednocześnie zjednoczyć je we wspólnej idei religijnej. Człowiek żył tam pijaną ekstazą zbiorową, jako częśćka prawidłowo ćwiczonej gromady! Tak samo na zachodzie Europy postępują stronnictwa polityczne: obchody, majówki wielotysięczne, marsze przy świetle pochodni i odgłosie podniecającej melodii są tam źródłami patriotyzmu partyjnego. Uczestnik ekstazy zbiorowej, która trwała może zaledwie kwadrans czasu, powróci do zajęć codziennych jako inny człowiek, bo w duszy utkwiło jakieś źdźbło, nadające jego fizjonomii wewnętrznej inny wyraz. Tego rodzaju emocja jest najpotężniejszą dźwignią krzewienia się poglądów wszelkiego rodzaju: religijnych, rasowych, po-

litycznych. Idea działa na umysły, uczucie zaś zagrzewa serca. Zdarzyło mi się być niegdyś na zebraniu, urządzonym przez metodystów. W jednym z teatrów Chicago znaleźli się ludzie różnego stanu, sproszeni z ulicy, po większej części zmęczeni pracą całodzienną. Posadzono ich na miękkich krzesłach, oświetlono rzesiście sale i nie zaniedbano żadnego fortelu, który mógł się być przyczynić do wywołania stanu błogości wewnętrznej. Rozpoczęto tam „nawracanie” od chóralnego śpiewu hymnów, przy czym wybrano melodie śmiałe, wojownicze, jakby stworzone do marszu. Po kwadransie jednym i drugim, gdy ekstaza uczyniła już swoje, bo zespoliła wszystkich w jedność i uspiła czujność indywidualną, kaznodzieja przemówił do zgromadzonych: „Śpiewajmy po pracy, bo śpiew wzmacnia ducha, uczy nas kochać bliźniego, każe zapomnieć o złych myślach. Śpiewajmy więc dużo, a razem!” Potem potracił inne struny — moralne, jeszcze później z lekka dotknął strony dogmatycznej, a właściwie prześlizgnął się nad nią. Dogmat przez serce trafiał do umysłu, przybrany w zachwyty emocjonalny. W oczach ukazały się łzy, ten i ów podnosił się z miejsca, poruszał rękoma w powietrzu...

H. Saint-Simon w dziejach rozwoju ludzkości odróżnił dwie epoki: krytyczną i organiczną, z których jedna zmienia wciąż drugą w następstwie wieków.

Podczas okresu organicznego, w jestestwie człowieka panuje doskonała harmonia: wszystkie jego potrzeby, zarówno moralne, jak i fizyczne, są zaspokojone, zasady etyczne pozostają w zgodzie z warunkami bytu. Inaczej się dzieje, gdy nastanie epoka krytyczna — rozkładu i rozprzężenia. W duszy ludzkiej powstaje istotne piekło, będące odzwierciedleniem ogólnie panującego rozdźwięku. Uczucia natury altruistycznej wchodzą w zatarg z samolubnym głosem potrzeb fizycznych, dopominających się zaspokojenia, można zaś uczynić mu zadość jedynie krzywdząc tamte instynkty. O życiu harmonijnym niepodobna marzyć. Pod wpływem takiego rozdźwięku istota ludzka zaczyna poszukiwać nowych zasad harmonii wewnętrznej lub jeżeli mniema, że zdoła przemoc przyrodę społeczną, usiłuje zmienić bieg stosunków zewnętrznych (nauka nie poddała jeszcze rozbiorowi psychologii, która jest właściwa każdej z tych epok rozwoju dziejowego, acz przedmiot jest bardzo wdzięczny).

Podczas jednej i drugiej inne temperamenty wypływają na powierzchnię życia społecznego i pozostawiają po sobie inny spadek. W okresie wypoczynku organicznego umysłowość drzemie, ludzie ospale ćwiczą swoje zdolności, rozbitcy są nieliczni. Natomiast w epoce krytycznej mechanizm społeczny odrzuca, że tak rzekniemy, wióry na wielką skalę. Krytyka dotyka się swoim skalpelem każdej strony życia: zdolności, wywołane z ukrycia przez rozterkę zewnętrzną i bodźce wewnętrzne, rozwijają się w całej pełni. Stare powagi przestają wywierać swój wpływ.

natomiast tworzą się nowe, które podejmują zadanie zażegnania niesnaski i przygotowują nastanie nowego okresu organicznego.

Otóż taka chwila krytyczna dziejów jest widownią powstawania ośrodków nowej powagi społecznej przy pomocy posługiwania się jaźnią zbiorową. Każdy głosiciel nowych zasad zbiera uczniów, ci nowe rzesze itd. Tworzą się sekty religijne, prądy filozoficzne, partie polityczne, każda zaś ćwiczy swoje kadry w dreszczu duchowości zbiorowej, bo ta, która nie zastosuje takiego środka, jest skazana na bezpłodność. Chwile takie, jak pierwotny okres tworzenia się chrześcijaństwa, wojny krzyżowe i husyckie, wypadki angielskie, kończące się na ogłoszeniu Cromwella protektorem, walka Francji 1792—1794 przeciw koalicji, obfitują w podmuchy entuzjazmu, stwarzanego i ćwiczonego przez jaźń zbiorową. Jaźń ta była nie tylko zastępem bojowym, lecz i środkiem ćwiczenia zapału, tępienia sobkostwa, wiązania ludzi w zastępy. Ma wtedy wielkie zadanie przed sobą — stwarzania patriotów sprawy. Taka uroczystość, jak obchód bratania się Francuzów z dn. 14 lipca 1790, niewątpliwie była dniem, w którym jaźń gromadna wybuchała płomieniem gorącego uczucia. Później Konwent był ogniskiem usiłowań, niecających zapał zbiorowy i organizujących go w drodze jaźni zbiorowej.

* * *

Solidarność społeczna, a zatem plemię w okresie rodowym, naród zaś w cywilizacji są z pozoru luźnym zbiorem osób, bez żadnego spoidła wzajemnego, jak kupy liści, zmiecionych do gromady przez wiatr.

Ale tylko z pozoru, bo w gruncie rzeczy są związani pomiędzy sobą wielu niemi natury emocjonalnej. Wychowani w otoczeniu właściwych ich więzi społecznej zwyczajów są żywiołowymi, tj. nieświadomymi patriotami, którzy ani podejrzewają, jakie tam, w głębi ich jestestwa, spoczywają zarodki duchowe. Nici te, mimo swojej rzekomej wężkości, odznaczają się wielką mocą. Poznajemy to, gdy zbiegłem wypadków znajdziemy się z dala od otoczenia, w którym wyrosliśmy. Skutkiem takiego wykolejenia powstaje w naszej jaźni pustka, przeradzająca się w ostrą tęsknotę, tak ostrą, iż wielu traci żywotność swoją i nawet powoli gaśnie. Istota takiej solidarności wraz z jej rodowodem są bardzo złożone: pomiędzy czynnikami, rozstrzygającymi o jej mocy, trzeba zamieścić nawet tryb życia i otaczającą przyrodę. Możemy wskazać dzikich, którzy wpadają w melancholię i tracą płodność fizyczną, gdy biały najezdnik zmusi ich do innego sposobu życia aniżeli ten, do którego przywykli od dzieciństwa.

Bądź co bądź plemię, w dalszym ciągu naród, nie są niczym innym, jeno osobliwym rozczynek emocjonalnym, z którego przy sposobności osadzają się odpowiedniego charakteru jaźnie gromadne. Co więcej, te jaźnie są zastępami ćwiczonymi od czasu do czasu, podobnie jak pułk

odbywa manewry. Istnieje w tym względzie tylko jedna różnica — na korzyść dzikiego społeczeństwa, w którym daleko systematyczniej bywa wytwarzany i wzmacniany ów duch gromadny.

Plemię, najniższe ze znanych więzi życia zbiorowego, powstało z trzody. Instynkt gromadzki, właściwy temu ustrojowi zbiorowości, odznacza się niezwykłą mocą i wytworzył się z sympatii, wiążącej rodzeństwo: braci i siostry. Pociąg ten tkwił w krwi, ale ukazał się dopiero w następstwie przyjemności, doznawanej ze wzajemnego towarzyskiego obcowania osobników sobie podobnych, jest więc z pochodzenia swego natury odmiennej od instynktu macierzyńskiego lub męzowskiego. Zresztą rzecz to mniejszej wagi, co odziedziczył nasz przodek po najdawniejszym okresie swoich dziejów. Na razie daleko większe znaczenie ma dla nas okoliczność, że każde plemię dzikie, zwłaszcza zaś barbarzyńskie, jest organizacją prawidłowo ćwiczoną w uczuciu społecznym.

Rozmiary społeczeństwa pierwotnego są nieznaczne. Od czasu do czasu odbywają się tam zbory, na które schodzą się z obowiązku wszyscy plemięńcy. Znalazłszy się zaś na jednym miejscu, upajają siebie narkotykiem podniecenia zbiorowego. Kto studiował zwyczaje ludów pierwotnych, ten wciąż miał do czynienia z opisami takich uroczystości, których przeżytkiem są między innymi igrzyska Hellady klasycznej. Zbierają się plemięńcy z bliska i z daleka, przynoszą ze sobą żywność lub zawczasu gromadzą ją w oznaczonym miejscu i spędzają dni parę na wspólnej uczcie: na tańcach, śpiewach, zabawach, wreszcie modłach. Wczmy np. Iroków. Kiedy nadchodzi dzień Nowego Roku, całe plemię pości przez dni kilka w powszechnej skrusze, ażeby rozpocząć bez grzechu nowy okres życia ziemi. Palą starą odzież, tłuką stare naczynia, jeden drugiemu przebacza krzywdy. Wszystkie włókna nerwów tam drgają, uczucia zaś doznają tym silniejszego podniecenia skutkiem zbiorowego charakteru uroczystości. Dni pokuty kończą się ogólnym korowodem, w którym uczestniczą wszyscy plemięńcy, składając dziękczynienia bogom i prosząc nadal o łaskę, spowiadają się ze swych wykroczeń przy dźwiękach dzikiej może, ale pobudzającej muzyki. Nowy Rok jest w okresie pierwotnym wielką uroczystością społeczną — porą odnowienia całej istoty moralnej w związku z odnową przyrody i związania skruszonych grzeszników przeciw społeczeństwu silniejszymi niemi uczuciowymi. W ciągu roku przypadają jeszcze inne święta: zbioru tego lub owego płodu, a wraz z nimi zaś znów posty, skrucha, spowiedź, tłumne tańce i śpiewy chóralne, słowem, wszelkiej postaci narkotyki zbiorowe (nasze: „obchodzić” święta wykazuje taki sam korowodowy charakter uroczystości u Prasłowian). Każdy szczegół jest tam obliczony na spotęgowanie uczucia patriotycznego, każda zwrotka rozbrzmiewa duchem zbiorowości. Podczas świąt starcy plemienni deklamują dzieje swojego narodu i opo-

wiadają o czynach praojców ku zbudowaniu żyjących: odbywa się zaś to podczas tanów. Gdy udają się wojownicy na wyprawę, zaprawiają się do niej za pomocą korowodów. Taniec jest w bycie dzikim i barbarzyńskim wielką szkołą wzajemnej solidarności. Tworzy się w nim jaźń gromadna natury patriotycznej i pozostawia po sobie rozczyn odpowiedni. „U Indian i w ogóle w całej rasie czerwonoskórej — powiada Morgan, ten głęboki znawca tubylców Ameryki — taniec był nie tylko obrzędem dziękczynienia, ale uchodził za sztukę boską. Poważano go nie tylko jako najstosowniejszy środek obcowania społecznego pomiędzy płciami, ale nadto jeszcze jako potężną dźwignię podniecenia patriotycznego, oraz utrzymywania w napięciu ducha łączności społecznej. Entuzjazm gromady uwydatniał się właśnie w takiej formie i jednocześnie otrzymywał w niej podniecie. Młodzieniec indiański kosztował pierwszych słodyczy wzruszenia emocjonalnego w korowodzie. Potężny wpływ tańców niecił w jego duszy pierwszą pobudkę patriotyczną i najwcześniejsze marzenia ambicji. Duch życia indiańskiego zakrzepnął w tańcach patriotycznych: religijnych i społecznych. Tany te przywiązywały plemieńców do drobiazgów, ale zarazem jednoczyły ich we wspólnym ogniwie; doprowadzały do szału, ale także rozdmuchiwały zarzewie patriotyzmu. Upór, z jakim Irokowie trzymali się swoich płasów plemiennych, daje najwymowniejsze świadectwo o ich przemożnym oddziaływaniu na umysły ludu”. Misjonarze od pierwszej chwili wypowiedzieli walkę tym urządzeniom, ale znaleźli posłuch tylko u bardzo nieznaczonej mniejszości. Morgan, który niejednokrotnie był świadkiem takich korowodów ogólnoplemiennych, opowiada, że nawet obcy widzowie ulegali entuzjazmowi. Jeden z Iroków rzekł do niego: w dniu, w którym zaprzestaniemy naszych tańców, wynarodowimy się! I miał słuszność! W tej jaźni zborowej, podsuniętej przez empirię, tkwił wielki rozsądek uczuć narodowych!

Taniec i chóry były tylko akcesoriami obchodu. Stosowano tam jeszcze inne środki, dzikie i rażące, ale które swoją dzikością tym bardziej oddziaływały na umysł pierwotny. Istnieje u ludów niższej kultury wielka uroczyść: uobywatelania młodzieży. Starsze pokolenie pastwi się nad wyrostkami dla wypróbowania hartu ich ducha: wypędza młodzieńców z obozu, poddaje ciężkiemu postowi, katuje ich ciało. Wielu nie powraca, bo życiem przypłacają te doświadczenia, które mają ich wprowadzić do zastępu dojrzałych członków społeczeństwa. Ale nad wygnañcami czuwa plemię i usypia ich bóle lekami duchowymi. Starcy nacinają żyły i własną krwią karmią młokosów, mówiąc do nich: jak my oddajemy wam swoje życie, tak czyńcie to samo w obronie plemienia swego! Plotą z włosów całego plemienia sznurki, którymi podpaszą młodzieńców — nowy symbol solidarności, którego całą doniosłość pojmiemy,

uprzytomniwszy sobie przesady związane z oddawaniem komuś tej części ciała. Tak bywa u Australczyków. U Zuniów i innych ludów z południowo-zachodniego kąta Ameryki Północnej istnieją inne zwyczaje, działające może jeszcze silniej. Plemionka te wierzą, że można wybłagać urodzaje tylko postem. „Boży człowiek” poświęca siebie na ołtarzu dobra powszechnego. Na jednego z młodzieńców pada wybór starców. Powołany na to stanowisko ćwiczy się z dobrej woli, w ciągu lat wielu do godnego spełniania swej misji. A gdy poprzednik wyczerpie swe siły, on zajmuje jego miejsce. Parę razy do roku, w odpowiedniej porze, udaje się do samotni, tam w pokorze ducha i poście woła do nieba dni kilka o łaskę dla ziomeków. Plemię całe także pości, ale umartwienie to nie jest ani tak długie, ani tak drobiazgowe. Pokutnik plemienny, gdy wraca z pustyni, jest tak wyniszczony, że nie może nawet stąpać o własnych siłach. Życie jego to droga cierniowa! Jedynie w czci ogólnej znajduje pociechę i wynagrodzenie.

Dziki to wzory, ale za to tym bardziej podniecają wyobraźnię i gorączkują uczucie. Pod wpływem takich czynników powstaje patriotyzm, o jakim świat cywilizowany nie ma pojęcia. Granice plemienne, z którymi plemieniec zaznajamia się w śpiewach podczas uroczystości, obowiązek stawania w obronie ziomeków i dzielenia się z nimi ostatnim kęsem, nauki udzielane przy obchodach uobywatelniania i pokutach publicznych, nawet gesty i melodie, jadło i ubiory — wszystko staje się tam świętością. Uczucie plemienne nawet u najniższej stojących ludów odznacza się niezwykłą mocą. Darwin, który nie ma słów pogardy dla mieszkańców Ziemi Ognistej, nie mógł wyjść z podziwu na widok uniesienia, jakie było z twarzy jednego z nich, gdy zaczął opowiadać podróżnikowi angielskiemu o wyprawach swoich rodaków. W okresie dzikości i barbarzyństwa więź społeczna opiera się na uczuciu i tylko na uczuciu. Nie ma tam spoidła stosunków ekonomicznych i wzajemnej zależności, które nas, dziatwę cywilizacji jednoczą i trzymają pospołu. Plemię jest istotnym organizmem, ale organizmem natury uczuciowo-ideowej, stworzonym przez dzieje, ćwiczonym podczas periodycznie wracających zbiorów ogólnych, utrwalanym przez empirię podnień zbiorowych, złożonym nie tylko z żywych, lecz z umarłych, którzy pozostawili po sobie zwyczaje i obchody. Jak ryba, póki jest w wodzie, nie czuje znaczenia żywiołu rodzimego, podobnie dziki nie zadaje sobie pytania, czym jest jego otoczenie. Ale ilekroć wyrzucą go losy spośród swoich, staje się zupełnym rozbitkiem. W duszy jego powstaje próżnia, jak gdyby ktoś odjął mu coś z jego istoty. Zaprawdę, odjęto mu taką część, stworzoną przez jaźń gromadną! Operację tę zazwyczaj przypląca życiem, chyba że rozpije się i rozładaczy.

Plemię więc to solidarność ideowo-uczuciowa, bezustannie ćwiczona

za pośrednictwem jaźni gromadnej, jak pułk stale bywa zaprawiany do musztry. My, którzy nie tak dawno wydobyliśmy się z rozstrzelenia, właściwego okresowi feudalnemu, pozostaliśmy w tyle za naszym przodkiem barbarzyńcą. I środki przez nas stosowane są nikłe i marne, że nie powiem nikczemne, w porównaniu ze szkołą życia pierwotnego. Prasa, sztuka, niekiedy blaga, pod którą ukrywa się samolubny interes! Jedynie w chwilach wstrząśnień i klęsk ukazują się dreszcze, które można byłoby porównać do wzorów barbarzyńskich. Francja dostarcza w tej mierze wymownego przykładu. Hovelacque powiada: „Dla nas, Francuzów, prawo, które powstało z Rewolucji, mianowicie prawo człowieka i obywatela, jest jedyną podwaliną narodowości. Opiera się ona na wspólnym interesie, trzyma się solidarnością zgromadzonych żywiołów, znajduje usprawiedliwienie w roli tłumów, które są ostatecznie wyłącznym źródłem praw”. Istotnie, wypadki 1789 i lat następnych, jednocząc w całość walczącą stan trzeci, naelektryzowały całe społeczeństwo i pozostały po sobie uczucie łączności narodowej. Zapasy z koalicją, entuzjazmy powszechne, które zrodziły święto federacyjne i *Marsyliankę*, wawrzyny Napoleona I utrwaliły to dzieło. Powstał patriotyzm, obejmujący już nie garstkę osób, ale tłumy. Wprawdzie nie wszystkich porwało uczucie, ale dotknęło tylu, że ci nadali krajowi zgoła inną fizjonomię. Narodowość francuska zrodziła się w podmuchach jaźni zbiorowej podczas wzięcia Bastylli i żakierii na prowincji, w chwili pospolitego ruszenia przeciw koalicji, na polach bitew wreszcie, gdy bose zastępy wyrostków zwyciężały weteranów księcia brunszwickiego. I uczucia te nigdy nie doznały większego ćwiczenia niż w latach 1870/71. Pogrom zelektryzował tłumy — wojna przegrana była dreszczem swego rodzaju, kształcącym patriotyzm. Kraj był po wojnie zniszczony, ale pod względem emocjonalnym przedstawiał zwartszą solidarność aniżeli uprzednio. Lecz nawet w takich okresach naród francuski jest nikłą jednią w porównaniu z plemiem pierwotnym.